

Warszawa, dnia 28 Października / 9 Listopada 1870 roku.

№ 45. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. **Rok VI.**

Od Redakcji.

Ogłosiliśmy już przedpłatę na **Opiekuna Domowego w 1871 roku**, w stosunku dotychczasowym rocznie po rsr. **3** w Warszawie, a po rsr. **4** kop. **80** na prowincji. Winniśmy raz jeszcze objaśnić Szanownych Prenumeratorów naszych z prowincji, że tylko składanie lub nadsyłanie *franco* pieniędzy prenumeracyjnych *wprost* do Redakcji i to jak *najwcześniéj* i o ile można na rok cały od razu, *jedynie* może zapobiedz, nieregularnemu, a niestety dotychczas tak powszechnie praktykowanemu otrzymywaniu pism przez prenumeratorów z prowincjonalnych stacji pocztowych. Wszelkie składanie pieniędzy prenumeracyjnych na ręce osób trzecich, pokazało się zawodnem. Jeżeli chodzi o usprawiedliwioną jak najzupełniéj w tych ciężkich czasach oszczędność, to ta da się najłatwiéj osiągnąć, przez nadsyłanie rocznéj prenumeraty od razu i to, jeżeli kto kilka pism prenumeruje, razem w jednéj kopercie, do wybranéj przez siebie Redakcji. Łatwiéj bowiem i taniéj przyjdzie prenumeratorowi *raz na rok* przeprowadzić utrudniającą korrespondencję z jedną Redakcją, aniżeli powtarzać takową z kilku Redakcjami co kwartał.

Objaśnienie to należało się naszym prenumeratorom, a to w celu uniknienia nieprzyjemnych dla czytelników, a nieprzyjemniejszych jeszcze dla Redakcji utrudnień, przez nieregularne odbieranie pojedynczych Numerów pisma.



Za chlebem. — (Strona 479-ta).

CECHY rzemieślnicze.

Zastanawiając się nad tem, dla czego rzemiosła niżéj stoją u nas aniżeli we Francji, Anglji, a nawet Niemczech, naprzód przedstawia się pytanie czy nie brak nam do tego potrzebnych zdolności? Lecz na to dostateczną są odpowiedzią zdania nawet cudzoziemców, którzy nietylko nie odmawiają naszym rzemieślnikom zdolności, lecz przeciwnie ich zdolności i wytrwałości

oddają pochwały. Trzeba więc szukać téj niższości naszéj w czem innem. Jedną z najważniejszych przeszkód udoskonalenia się naszych rzemiosł, odpowiednio do postępów czasu obecnego, są zwyczaje cechowe.

Kiedyś, w wiekach średnich, cechy stanowiły zabezpieczenie rzemiosł od zewnętrznego ucisku, lecz dziś gdy przyczyny te ustały, utrzymywanie się cechów w całéj sile średniowiecznéj, ze wszystkiemi dziś już czczemi formami, są jeżeli nie zupełnie niepotrzebne, to przynajmniéj wymagają zupełnéj przemiany.

Do nas zaprowadzono cechy razem z cudzoziemskimi rzemieślnikami i gdy dziś na ich ziemi rodzinnéj prawie zupełnie zmienionemi zostały, gdy praca ludzka oswobodzoną została od pęt narzuconych zwyczajem, czczą formą, u nas utrzymują się prawie w całéj sile. Korzystajmy z doświadczeń obcych, a widząc, że tam wyzwolenie pracy błogie przyniosło owoce, silnie naprzód posunęło wszelkie wyroby, starajmy się wejść na tęż samą drogę. Nie jest koniecznem bezwarunkowe zniesienie cechów; stowarzyszenie niechaj istnieje, wzajemna pomoc bratnia dla ludzi pod jednem znamieniem pracujących, niechaj osłania jako puklerz od pocisków losu, niechaj zabezpiecza weteranów pracy w chorobie i starości. Ale precz z kastowością pomiędzy drużyną pracowników, tak jest kastowością, bo majster, czeladnik, terminator czyli uczeń i wyrobnik, to cztery kasty; a jeżeli między majstrem i czeladnikiem mniejszy panuje przedział, za to pomiędzy czeladzią, terminatorem i wyrobnikiem istnieje nieprzebyta zapora. Ta zapora jest utworzona przez przeżyte dawne podania, których najbieglejszy obrońca dawnych cechów nie jest w stanie wszystkich wymienić, gdy będzie o nie pytany. Zwyczaje cechowe istnieją tylko w podaniu przechodzącem od pokolenia do pokolenia; coraz więcéj są zapominane, tracą na sile, ale jednakże są jeszcze. Cechowych zwyczajów w rozmaitych rzemiosłach jest takie mnóstwo, iż zwrócimy uwagę tylko na niektóre z nich.

Uczeń rzemieślniczy, tak zwany terminator, wchodząc na naukę do terminu, zostaje wprawdzie pod zwierzchnią władzą swego majstra który go żywi a niekiedy i odziewa, lecz bezpośrednią władzę nad nim ma w warsztacie czeladnik. Jak ciężkiem jest to jarzmo władzy, niech mi wolno będzie powiedzieć, iż władza czeladnika jest nietylko nieograniczona, ale tyrańska. Majster chociażby najbardziéj ludzki, nie jest w stanie zasłonić terminatora, przed niezasłużoną bardzo często, surowością czeladnika. Surowość ta bynamniéj nie pochodzi ze złego serca, lecz jest zadosyć uczynieniem wymaganiom zwyczajów cechowych; jak postępowano z czeladnikiem kiedy się uczył rzemiosła, tak on wzajemnie odbija to niejako na uczącym się teraz od niego. Jakimże postrachem dla terminatora jest czeladnik cudzoziemiec, mający władzę nad miejscowym chłopcem, z którym się porozumieć nie jest w stanie; szczodrze on używa prawa karcenia, jakie posiada według zwyczajów cechowych.

Terminator odrywany często od roboty przez czeladź używającą go na posyłki, nie rzadko dochodzi do kresu swego terminu, nie nauczywszy się jeszcze rzemiosła; na wyzwoliny składa pospolicie sztukę, to jest dowód biegłości w rzemiośle, przez kogo innego zrobioną. Sędziowie mający ocenić tę pracę, pospolicie wiedzą iż nie sam chłopiec wykończył ją, ale bacząc na to, iż to jest formą tylko, nie występują przeciw nadużyciu.

Termin trwa zwykle od 3 do 7 lat, czas ten aż nadto byłby wystarczającym do wyuczenia się jakiegokolwiek rzemiosła, gdyby był poświęcony jedynie na naukę, a że pospolicie tak nie jest, winien temu głównie zwyczaj cechowy, według którego, chłopiec zostaje na usługach majstra, majstrowéj i wszystkiéj czeladzi. Nie dosyć na tem, chłopiec terminator, wiedząc iż czas wyzwolin, naprzód wyznaczony żadnym sposobem skróconym być nie może, przy najusilniejszych staraniach ze swéj strony, poddaje się téj konieczności fatalnéj, nie dba o naukę, nie korzysta z czasu, odkładając staranniejsze przyłożenie się do pracy na późniéj. Całą zdolność i zabiegłość obraca na to, ażeby mógł jakimkolwiek sposobem złapać upragniony grosik, zrobić coś jak oni nazywają na fuszerkę, potajemnie zwykle przed majstrem, w dzień świąteczny. Zarobiony pieniądz idzie niekiedy na cel poczciwy, dojdzie do rąk ubogiéj matki lub ojca, ale najczęściéj jako dochód przypadkowy, idzie na hulankę z towarzyszami.

Zostawszy nareszcie chłopiec wyzwolonym, dla poniesienia wydatków cechowych najpospoliciéj zadłuża się; część tych wydatków ma cele zacne, jak np. składka na opłacenie szpitala, lecz większą część wydatków pociąga poczęstne, jakie nowy towarzysz powinien sprawić czeladzi na gospodzie. Mniejsza tu już o pieniądz stracony marnie, który odrobionym ciężko być musi, bo jeszcze nie jest zapracowany, ale niewstrzemięźliwa hulanka nadweręża zdrowie, a ztąd niedomaganie pociągające za sobą potrzebę kilkodniowego próżnowania, a więc nową jeszcze stratę. Jest zwyczaj cechowy w niektórych rzemiosłach iż czeladź szukająca roboty, odwiedza współtowarzyszy zajętych w warsztatach, niby to celem poszukania roboty: odwiedziny te kończą się na tem, iż następuje doraźne poczęstowanie, a potem opuszczenie warsztatu dla braku potrzebnéj przytomności.

Strata czasu, strata nieraz znaczna dla majstra, któremu robotę nienależycie wykończoną, jako w niezupełnie trzeźwym stanie, oddać trzeba było. Najpracowitszy, najzdolniejszy czeladnik wyzwolony na prowincji, przez majstra dobrego ale nie zapisanego do cechu, nie może być do warsztatów Warszawskich dopuszczonym; czeladź miejscowa nie przyjmie go, nie pozwoli mu razem ze sobą pracować, wymagając koniecznie ażeby odbył nowy termin i wyzwolił się w Warszawie, natenczas przyjętym zostanie do grona czeladzi.

Ciężkie jarzmo zwyczajów cechowych, gniotące tak silnie rzemieślników a przedewszystkiem terminatorów, majstrów także w znacznéj części, czyż daje społeczeństwu jakiekolwiek rękojmie że wyrób przez cechowego zrobiony jest dobry? bynajmniéj; codzienne doświadczenie najdobitniéj nas o tem przekonywa. A skoro zwyczaje te nie przynoszą pożytku, są raczéj przeszkodą swobodnego rozwijania się pracy, przeto usunięcie ich jest koniecznem. Niechaj upadną przywileje cechowe, niechaj runie mur rozdzielający pomiędzy sobą kasty rzemieślnicze; praca i tylko praca, a przez nią nabyta zdolność,

niech stanowi wyższość jednych od drugich, a nie zwyczaj, nie przywilej.

Każdy chcący się oddać rzemiosłu, niechaj przyjęty zostanie jako robotnik do warsztatu, w miarę nabywania zdolności i wprawy w robocie, niech wynagrodzenie jego zwiększa się. Uczący się rzemiosła, wiedząc, iż byt jego zawisł od szybkiego postępu w nauce, przykładać się będzie z całych sił do pracy, pracą zdobędzie sobie własną niezależność; nie ukradkiem lecz godziwie zarobiony pieniądz, użyty zostanie na dobre. Nie jedna uboga rodzina, która łożyć jeszcze musi koszta na syna lub brata zostającego w terminie, mieć będzie w nim pomoc; w niektórych rzemiosłach już po kilku tygodniach, pracowity i pojętny robotnik, może obznajmić się jeżeli nie zupełnie to w znacznéj części z rzemiosłem i nie czekając jak dawniéj czasu wyzwolin, zaraz zacznie korzystać ze swéj pracy. Czyż może być szlachetniejsza pobudka do usiłowań i pracy dla młodego, jak ta myśl że on jest człowiekiem, bo pracując przykładać się może do utrzymania starych rodziców lub nieletniego rodzeństwa. Pracując usilnie, coraz trudniejsze roboty wykonywając, wychodzi na zupełnie zdatnego rzemieślnika, a wykończone przez niego roboty, mogą być sumiennie podane przez majstra jako dowody znajomości rzemiosła, zamiast do dziś dnia praktykowanéj sztuki. W naszych większych zakładach mechanicznych, wyrabiających rozmaite przedmioty, do wykonania których potrzeba kilku rzemiosł, nie ma żadnych kast, są tylko robotnicy; każdy chcący pracować od razu dostaje pewne wynagrodzenie, zwiększające się w miarę postępu w robocie. Napróżno wyroby z tych zakładów fabrycznych uważane są przez cechowych jako fuszerki, a zwierzchnicy zakładów fuszerami, dokładność jednak tych wyrobów nic nie zostawia do życzenia i gdyby nie wyższość ceny, mogłyby śmiało współubiegać się z wyrobami krajów daleko bardziéj od nas w rzemiosłach posuniętych. W zakładach tych panuje pewna równość pomiędzy pracownikami, chętnie udziela rad doświadczony robotnik młodemu; nie ma cechowéj sztywności, odstraszającéj młodego od zapytania o radę, zażądania objaśnień. Druga ważna okoliczność, która znakomicie wpłynie na udoskonalenie wyrobów u nas, skoro już nie będzie kast w warsztatach, jest ta, iż zaczną się wyrabiać specjaliści, co jest niesłychanie potężną dźwignią udoskonalenia się w rzemiosłach. Znajdą się tacy, którzy, albo nie mając zdolności umysłowych odpowiednich, albo zręczności, nie będą nigdy w stanie całego rzemiosła znać doskonale, lecz pewne części roboty z zamiłowaniem i wielką dokładnością wykonywać będą. Tacy, wynagradzani odpowiednio posuwać będą swoją specjalność do najwyższéj doskonałości, nie będąc zmuszanymi do odrywania się do innéj roboty nie miłéj im lub mniéj dla nich łatwéj. Nie do wszystkich rzemiosł potrzebni są specjaliści, ale w wielu bardzo, każdy to przyzna, są oni niezbędni. Usunięcie terminowania, wprowadzi do rzemiosł naszych, nowy zastęp pracowników, klassę ukształceńszą, która zastraszona terminem i rygorem cechowym unika rzemiosł, nie przez pogardę dla nich, jak błędnie wielu mniema, ale dla niemożności wytrwania w znoszeniu przykrości, bynajmniéj nie nauką rzemiosła spowodowanych.

Antoni Rogalewicz.

ZA CHLEBEM.

Biedne dzieci, biedna moja żona,
Ciepłéj dawno nie widziały strawy...
Więc kolejno tuląc je do łona,
Pożegnałem i tęskny i łzawy.
Pożegnałem z nadzieją i wiarą,
Jakbym w świętem był przymierzu z niebem,
A pojąc się przyszłych losów czarą,
Wyruszyłem... za chlebem — za chlebem.
Trzy miesiące nie byłem w swej chacie,
Pracowałem od świtu do zmroku,
Jak niewolnik w obszarpanéj szacie,
Lecz z nadzieją, lecz z radością w oku,—
Że ozłocę byt swojéj rodziny.
Wracam — wracam, pełen marzeń, siły,
Jakbym w cudów wstępował krainy,
I zaszedłem sobie na mogiły.
Dziad otworzył cmentarza podwoje,
I poznał mnie pod nędzną odzieżą,
— Starcze, żona — dzieci gdzie są moje?
Odpowiedział: tu leżą... tu leżą..!

Franciszek Gumowski.

JAN TURGENIEW.

(Dokończenie, patrz Nr. 44-ty).

Dzieła Turgeniewa, nietylko jako kreacje niepospolitego autorskiego talentu, ale jako prawdy humanitarnéj dążności, wcielone w postać zajmujących opowiadań i obrazów, uzyskały sobie prawo obywatelstwa w świecie ucywilizowanym. Prawda i mądrość, jakimkolwiek bądź językiem głoszone, w jakiejkolwiek bądź postaci wystawione, prędzéj czy późniéj stają się własnością całego człowieczeństwa. Prawda, mądrość, piękno, cnota, miłosierdzie, szlachetność, i t. p. nie mają narodowości, nie dają się monopolizować i tak jak promienie słońca siejące światło, ciepło i życie, są dobrem ogółu.

* * *

Jan syn Sergjusza Turgeniew, pochodzi ze starożytnéj i zamożnéj rodziny rossyjskiéj, urodził się dnia 8 Listopada 1818 r. w mieście Orle. Odebrawszy domowe staranne wychowanie, w roku 1834 zapisał się najprzód do Uniwersytetu Moskiewskiego, a we wszechnicy Petersburgskiéj kurs nauk ukończył. W roku 1838 wyjechał za granicę i podczas morskiéj podróży, w pożarze parowca niedaleko Trawemünde zaledwie nie zginął. W Berlinie słuchał wykładów Hegla, a po upływie dwóch lat wróciwszy do Petersburga, pracował w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Działalność swą literacką, Turgeniew rozpoczął od tłómaczeń i ulotnych wierszyków, a dopiero w roku 1843 wystąpił z oryginalną powieścią p. t. *Parasza.* Wydrukowane w roku 1847 w rozmaitościach „*Sowremiennika*“ opowiadanie p. t. *Chór i Kalinycz*, przyjęte z wielkim zapałem, wskazało mu drogę najwłaściwszą dla jego talentu. W roku 1852 z powodu napisania dotkliwego artykułu o znakomitym pisarzu humorystycznym Gogolu, zmuszonym był usunąć się ze stolicy. Zamieszkał tedy w wiejskiéj zaciszy i odtąd przebywał na przemiany w Rossji lub za granicą; od roku zaś 1863, stale osiadł w Baden-Baden, zkąd niekiedy tylko wychyla się do kraju rodzinnego na czas krótki w odwiedziny.

Szczegóły osobiste bliższe tego znakomitego pisarza, są prawie nieznane, będąc zaś proszony przez jedną z Redakcji pism rossyjskich o zakommunikowanie jéj takowych dla zaspokojenia ciekawości ogółu w téj mierze, odpowiedział słowami Emila Augier: „urodziłem się, miałem sobie zaszczepioną ospę, następnie gdym dorosł, pisałem komedje.“ Odezwanie się to jednakże Turgeniewa nie jest tak dalece frazą humorystyczną, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło, gdyż dzieła jego są wiernem odzwierciadleniem własnego życia autora, przynajmniéj życia duchowego we wszystkich jego fazach, począwszy od młodzieńczéj idylli i sielanki, a kończąc na sarkazmie i filipice wieku, w którym ciało nachyla się ku starości, a duch spotęgowany zdobytą wiedzą, ma wolę i siłę chłostać przesądy, uprzedzenie i wszelką wsteczność społeczeństwa swojego.

W szeregu utworów tego znakomitego talentu, *Zapiski Ochotnika*, t. j. notaty myśliwca, zajmują jedno z najpierwszych miejsc; są to obrazy pełne życia, kolorytu, świeżości, natchnienia i samoistnego polotu, dążącego do wyższych celów, lepszego bytu, zgoła do światła, ciepła, wiary, nadziei, miłości i wolnych od samolubstwa uprzedzeń; są to utwory szerokiego horyzontu, może nawet wyższe nad swój czas i swe ówczesne otoczenie. Dziwić się przychodzi czytając owe zapiski, że Turgeniew, wychowywany w latach dziecinnych przez cudzoziemców, i znaczną część życia lat młodzieńczych i wieku dojrzałego przepędzający na obczyznie, zdołał napisać dzieło pełne głębokiéj znajomości tajemnic serdecznych życia sielskiego swych stron rodzinnych, pełne wizerunków żywcem branych z natury stron tych i z fizjognomji wewnętrznéj ludzi, przepędzających dni swoje w zaciszach wiejskich, wśród pól, lasów i stepów odludnych. Wysoki dar obserwacji i głęboki pogląd na świat i ludzi, zresztą intencja z talentem opisowym w połączeniu, widać składały się na utworzenie téj niewymuszonéj pod względem formy, prostéj pod względem treści, a cudnéj pod względen oddania i myśli przewodniéj kreacji. Zapiski Ochotnika przetłomaczone też zostały na język francuzki, angielski, duński i węgierski.

Głośną jest także, jego powieść, p. t. *Ojcowie i dzieci* napisana z kąsającą ironją i znakomitą werwą, celem dania tryumfu czystéj prawdzie nad teorją fałszów i doktryną tendencyjną sofistów i faryzeuszy. Wyżéj wspomniona powieść Dym, z innego stanowiska, ale z równą dzielnością walczy za światło i prawdę, występuje przeciwko upojeniom pychy pojedynczéj i zbiorowéj, wskazując drogę prawdziwego postępu na drodze czynu i pracy. Dwa te ostatnie dzieła są znane w tłomaczeniu francuzkiem i niemieckiem. Zbiór zaś utworów powieściowych Turgeniewa p. t. *Erzählungen* tłomaczył Bodenstädt (w Mnichowie 1864 -- 1865, tomów 2).

W naszym języku mamy podobno przekład powieści: Dym, ale w kraju tutejszym nieznany. Nie umiemy wszakże powiedzieć dla czego mianowicie tłomaczenie utworu ma być uważane za owoc niewłaściwy, gdy oryginał jest dostępnym dla każdego?

W roku zeszłym 1869 wyszła powieść Turgeniewa p. t. *Nieszczęsna.*

Kończąc pobieżną tę wzmiankę o Turgeniewie, który jako człowiek towarzyski, słynie z otwartości, uprzejmości i cnót jednających mu ogólny szacunek, nie możemy przenieść tego na sobie, żeby nie zaznaczyć tu owego powszechnego uprzedzenia, które przeciwko pisarzom satyrycznym, ośmieszającym wady i ułomności towarzyskie i społeczne, wyrażać się zwykło zdaniem, że: zły to ptak, który swe gniazdo szpeci!

Na to moglibyśmy odpowiedzieć innem zdaniem: że kiedy jednego barana strzygą, to na drugim skóra drży! Satyra obyczajów, tak jak gorzkie lekarstwo, przykro z początku smakuje, ale uzdrawia. A co innego jest satyra, a co innego paszkwil, który czepia się osób przez prywatę lub zemstę osobistą, gdy pierwsza nie tykając ich wcale, występuje przeciwko zdrożnościom pro bono publico...

Jeżeli pragniemy aby społeczeństwo doszło do pożądanéj dojrzałości, nie godzi się go durzyć cukierkami pochlebstw, duserami i komplementami jak zepsute dziecko...

Szczęśliwi ci co odważnie nauczą się prawdy słuchać i mają takich, co odważnie i umiejętnie są zdolni ją wygłaszać.

Zwróćmy oczy na chwilę w stronę smutnéj pamięci Sedanu, w stronę nowożytnego Babilonu, Paryża... i zastanówmy się nad losami narodów, upojonych narkotykami obłudy, hipokryzji, fałszów i schlebiania słabościom, pysze, zarozumiałości i miotanych rozkiełznanemi namiętnościami przez szereg lat wieku...

Brakło tam jednéj tylko rzeczy: prawdy! i jednego tylko takiego jak Turgeniew prawdo-mowcy...

Felicjan Kozłowski.

Marymont i jego okolice.'

(Dokończenie, patrz Nr. 43-ci).

Janczewski Kazimierz, urodził się w Białymstoku dnia 28 Lutego 1799 roku. Nauki gimnazjalne ukończył w Białymstoku. W latach 1818 i 1819 odbył kursa teoretyczne w Szkole Leśnéj w Warszawie i jednocześnie uczęszczał na wydział Prawny w b. Uniwersytecie. Poczem przeznaczony został na urzędnika lasów rządowych, gdzie od adjunkta leśnego doszedł najwyższegó stopnia w hierarchji leśnéj, to jest stopnia Naczelnika Sekcji Leśnéj i Członka Kommisji Rządowéj Przychodów i Skarbu. Był członkiem Kommisji Egzaminacyjnéj przy Rządzie Gubernialnym Warszawskim, oraz Honorowym Członkiem b. Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, a nakoniec Redaktorem pisma leśnego „Sylwan.“

Pomijamy opis tego co Janczewski zrobił dla lasów rządowych, bo to dokładnie określone było na innem miejscu, ale w tem wspomnieniu Marymontskiem zanotować powinniśmy, że on jako professor Instytutu od roku 1836 do 1862, wykładający w nim naukę leśnictwa, wiele przyczynił się do rozszerzenia téj specjalnéj wiedzy po całym kraju i nie dziw, znał on gruntownie teorycznie i praktycznie swój przedmiot. Wykład jego był jasny i ścisły, obok tego że tak powiem wykwintny, zdolny zająć i zainteresować swoich słuchaczy.

Co do wzajemnych stosunków uczniów ze swoim ulubionym professorem, trafne obchodzenie się ostatniego, grzeczność i poważanie w uczniu przyszłego obywatela kraju, szczera chęć nauczenia pożytecznéj wiedzy, rzec można była pojętą przez uczniów

rozumem, sercem i instyktem, kto rzeczywiście dobrze im życzy. Kazimierz Janczewski kochał młodzież, kochał lasy jak swój ulubiony przedmiot, młodzież sympatyzowała z nim i wielbiła na każdym kroku.



ŻYCIE W STAWIE. — (Strona 482-ga).

Janczewski pisał wiele do Sylwana, oddzielnie wydał tylko „Naukę o torfie,“ jako odbitkę z tego wybornego zbiorowego pisma.

Ostrowski Edward, znakomity uczony ten wete-

rynarz urodził się dnia 2 Czerwca 1816 roku we wsi Pokorszach, powiecie Trockim, gubernji Wileńskiéj. Po ukończeniu kursu gimnazjalnego, zaczął pobierać nauki czysto lekarskie w b. Akademji Medyko-Chirurgicznéj w Wilnie, szczycącéj się professorami pozostałymi po starożytnym uniwersytecie. Po niejakim wszakże czasie myśl, że w zawodzie lekarskim jaśnieje już tyle gwiazd świetnych, a zawód weterynarza mniéj świetny, prawie poniewierany, chociaż także ogromnego użytku dla ogółu, natchnęła znać Ostrowskiego postanowieniem do obrania tego ostatniego. Skończył więc kurs weterynarji i został assesorem w urzędzie lekarskiem b. gubernji Mazowieckiéj i Kaliskiéj; obok tego urzędu pełnił wciąż obowiązki od 1841 roku Dyrektora Szkoły Weterynarji i professora weterynarji gospodarskiéj w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Marymoncie. Wykład jego uczył i prawdziwie zachwycał, bo professor umiał przekonać, trudniejsze kwestje przy sekcjach w praktyce objaśnić, a przebieg nauki tyle trudnéj na pozór, tak umiał jasnym uczynić i urozmaicić, że nie było ucznia pomiędzy Marymontczykami, któryby go nie słuchał z zajęciem, któryby z wykładu jego nie korzystał. Wykład zaś ten w ustnem opowiadaniu, wyższy elegancją słowa i owiany powagą prelekcji uniwersyteckiéj, napisany jako kurs, odznacza się prostotą i jasnością, tak, że przedstawia sam w sobie podręcznik dla każdego gospodarza konieczny.

Ostrowski Edward jako urzędnik, pracował pomiędzy innemi na drodze naukowo-administracyjnéj. Jego to głównie pracą powstała: „Policja weterynaryjna,“ w wykonanie w kraju wprowadzona i wydana na widok publiczny staraniem przełożonéj władzy.

Dzieło to rozpowszechnione w Królestwie na drodze administracyjnéj, nie jeden z czytelników naszych przynajmniéj przeglądał, a zatem mógł ocenić jak zmarły znał kraj, jak w przepisie nawet policyjnym, umiał uwzględnić zwyczaje ludu i nie srogą literą prawa, ale przekonaniem o koniecznéj potrzebie zachowania przepisów, umiał niejednego ochronić od wyraźnéj szkody dla siebie i ogółu. Z innych poważniejszych prac Ostrowskiego, zasługuje na szczególną uwagę „Chirurgja weterynaryjna.“ Każdy co zna jak trudną jest ta nauka, jakiéj ona znajomości składu organicznego zwierzęcia wymaga, łatwo osądzi, że Ostrowski jasnem i przystępnem opracowaniem dzieła tego, dobrze zasłużył się krajowi. Nie jednego z gospodarzy słyszeliśmy z wdzięcznością wspominającego o téj pracy zmarłego ziomka, bo ona służyła mu niejednokrotnie do wykonania operacji nad zranionem lub okaleczonem przy złamaniu nogi zwierzęciem, a operacja powiodła się dobrze. Ten to oceni najlepiéj, kto sobie wystawi uleczonego konia-ulubieńca co złamał nogę przypadkiem. „A Chirurgja weterynaryjna Ostrowskiego,“ we wszystkich takich lub tym podobnych wypadkach, przynosi zdrową, jasną i praktyczną radę. Oceniła ważność tego dzieła Wszechnica Jagielońska w Krakowie, kiedy go za podręcznik do wykładu dla uczniów swych przeznaczyła.

Dzieła Ostrowskiego „O leczeniu zarazy płuc u bydła rogatego“ i „Influenza końska,“ dopełniają szeregu specjalnych i wielce pożytecznych prac jego. Z drobniejszych artykułów jego, których nie wymieniamy dla szczupłości miejsca, wszystkie w swoim czasie miały znaczne zastosowanie w praktyce, pomieszczał on je przeważnie w Kalendarzach i Gazecie Rolniczéj.

W roku 1853 Ostrowski powołany został na professora Uniwersytetu w Charkowie, zkąd wysłany był do step Kirgizkajsackich z missją naukową. Podróż tę opisał w dziele „Listy z podróży do Kirgizów,“ które w dwóch tomach wyszło na widok publiczny. Umarł w dniu 24 Stycznia 1860 roku, w gubernji Kurskiéj, we wsi Rokitnie.

Życie w stawie.

Niejednokrotnie mijamy kałużę, bagno, stawek obojętnie, ani marząc o dziwach jakie w sobie zawierają i cudach jakie się w nich odbywają.

Ale usiadłszy nad brzegiem sadzawki i przyjrzawszy się powierzchni i głębi wody objętości niedochodzącéj stopy sześciennéj, możemy tam odkryć tyle dziwów i cudów, na opisanie dokładne których, trzebaby całe tomy poświęcić.

Załączająca się powyżéj rycina, właśnie wyobraża taką szczupłą przestrzeń i głąb' stawu, zamieszkałe przez mnóstwo dziwnych kształtów i obyczajów stworzeń, które albo tu mają stałe swe mieszkanie, albo czasową tylko kwaterę, do wydoskonalenia swego jestestwa im przeznaczoną.

Oto najprzód widzimy u góry ryciny, na powierzchni wody, parę podłużnych pająkowatych stworzeń, które nie pływają, nie czołgają się, nie zanurzają się, nie toną, ale biegają rwistym pędem po téj powierzchni. Gdy się poruszą, zdaje się, że ktoś pchnął jakiś maluczki wózek który popędzi i zatrzymuje się co chwila stosownie do tego jak nim ktoś manewruje. Szybkiem przebieraniem nóg po wodzie, odbywa się to bieganie będące zarazem ślizganiem się — są to łyżwiarze rodu owadziego. Owad ten nazywa się nurtniczkiem bagnowym.

Tam znowu pływa parę drobnych żuczków czarno metalicznego koloru, pływa w esy i floresy i ztąd krętakami nazwanych. Żuczki te, są to istne okręciki pancerne, zbudowane do pływania na wierzchu i wewnątrz wody. Bo oto krętaki te wirują i wirują ze wzrastającą szybkością w obranéj niewielkiéj przestrzeni i nagle znikają gdzieś bez wieści, dawszy nurka jakby na hasło dowódcy w głąb' wody, to nieopodal zjawiają się w gromadce i tkwią na powierzchni wody jak łebki cwieczków metalowych, dopóki nagle znowu nie zaczną się kręcić w około.

Wzięte w rękę stają się niedołężnemi, chodzić nie umieją, wzlatać na zawołanie nie mogą, a oczy z dzikim jakimś i badawcym wyrazem na dół obrócone, wskazują, że rozpatrywanie głębi wody z jéj szczytu, a zapewne wyszukiwanie tym sposobem zwierzyny na łowy, jest ich zadaniem.

Tam przekopnica ściga zadychrę. Tam ślimak skręcony płasko, zwany zatoczkiem, objada łodygę roślinki wodnéj.

Na dnie stawu łażą tak zwane obszytki, to jest gąsienice skrzydlatego owadu jętką zwanego, które w téj postaci, mieszkając w ukryciu ze ździebeł trawy, kory lub kamyków spojonych w kształcie rurki, przez trzy lata na dnie wód przebywają, zanim nie wykształcą się w owad doskonały. Owad ten, jętka żyje tylko parę godzin i całe to krótkie życie na godach miłosnych przepędza. Natura snać miała swoje cele przeznaczając życiu niedoskonałemu tego owadu w głębi wód, czas tak długi, w porównaniu z czasem życia doskonałego. Ta ostatnia pora zdaje się tylko mieć na celu zachowanie ruchu, gdy życie w wodzie jakąś missję specjalną, do któréj owad jest naznaczony, bo jętka w stanie doskonałym, nawet nie ma w swym organizmie narzędzi do przyjmowania i trawienia pokarmów. Żyje krótko, ale samą miłością. Pokrycie owe, owa rureczka będąca domkiem gąsienicy jętki, mając pozór rzeczy zupełnie martwéj, bo kopki zwirku, kawałka kory od gałązki lub

strzępiastego kawałka drewna, zabezpiecza zwierzątko od napaści ryb, nader chciwych na nie.

W śród trzciny na lewéj stronie rysunku tuż nad zatoczkiem, lezie gąsienica konika polnego zwanego inaczéj szklarkiem, do którego rodziny należą ważki i tak zwane panny, owe wątłe a nadobne istoty o gazowych podłużnych skrzydełkach, nad brzegami rzek lotem błędnych ogników bujające. Nad nią pływak daje nura na dno wody, wraca on z rekonesansu jaki odbył nad powierzchnią wody w interesie miłości, a może dla nabrania powietrza. Widać częstokroć na powierzchni owadu w wodzie zanurzonego bulkę powietrza zabraną kunsztownym sposobem z powierzchni wody w kształcie metalowéj gałeczki. Dopóki zapas ten nie skonsumuje owad swemi dychawkami, nie ma potrzeby wydostawać się z głębi wód, gdzie odbywa swe łowy, lub za pomocą kolca, pod spodem swego korpusu wzdłuż takowego ostrzem ku końcowi skrzydeł obróconego; przyczepiony do spodu liścia rośliny wodnéj, oddaje się spoczynkowi. Tam znowu kilka raczków malutkich, kształtu ryb z głową świerszcza różne ewolucje nad dnem wód wyrabia; a na iłowem dnie widać łażące płaszczyce, owad wyglądający tak, jakby był napuszony, z długim kolcem na końcu odwłoki w kształcie żądła tkwiącym i przedniemi łapami w kształcie kleszczy raka trzymanemi. Wstrętną jest postać płaszczycy, przypomina ona skorpiona, chociaż owad ten, tego ostatniego obyczajów, ani jadowitości nie posiada. U góry po prawéj stronie ryciny w kątku wisi przyczepiony ślimak szrubowato skręcony, zwany nieruchem stawowym, swoją nieruchliwością i samotnemi obyczajami, przypominający safandułów człowieczeństwa.

Nie wszyscy jednakże mieszkańcy głębi wód naszych są na téj rycinie reprezentowani. Brak jeszcze znakomitości nielada, jaką jest pająk wodny, zwany technicznie *argyroneta aquatica*, słynny jako hydraulik co się zowie. Możnaby przypuścić że pomysł dzwonu nurków, temu pająkowi winniśmy. Nie mogąc żyć pod wodą bez powietrza, sprowadza go on sobie w ten sposób, że ilekroć wypłynie na powierzchnię wody, nagłem zanurzeniem się wciąga na swojem delikatnym puchem pokrytem ciele, pewną ilość takowego i wpuszcza go pod klosz, w kształcie naparstka stojącego, z pajęczyny przezroczystéj utkany, i nićmi pajęczemi do roślin wodnych w téj postawie przytwierdzony. Manewr ten przemyślne stworzenie powtarza dopóty, dopóki cały klosz nie wypełni się powietrzem, co gdy uskuteczni, zasiada wewnątrz téj kryształowéj przezroczystości i blasku pałacu i czatuje na zdobycz. Klosz ten nieraz oglądaliśmy w głębi wód, nie wiedząc że jasna okrągława owa, podobna do srebnego naparsteczka kulka, jest właśnie owym kloszem hydraulicznym, owym pałacem kryształowym pająka.

Widzimy jeszcze z boku ryciny rzęsę wodną, przez włościan kaczyńcem zwaną, ową roślinność o grubych kształtach i wielkości soczewicy listkach, wody stojące nakształt zielonego koloru latem pokrywającą, a przez kaczki chciwie pożeraną. Życie tego tworu przedstawia zjawiska, będące połączeniem niejako życia zwierzęcego i roślinnego zarazem. Zbadanie i stanowcze określenie tego życia, jest zadaniem uczonych z powołania, nam profanom zaś godzi się tylko podziwiać cuda przyrody, jakich u nóg naszych jest pełno, a na jakie człowiek nieukształcony pogląda niby na rzecz martwą i bez znaczenia.

Aleksander Osipowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

I.

ANDRZÉJ FRĄCKOWIAK,

Włościanin wzorowy, czyli nowa-wieś urządzona.

Warszawa 1870 roku.—Cena 60 kop.

Pod powyższym tytułem wyszła książka dla ludu wiejskiego, o któréj „*Kurjer Lubelski*,“ daje następujące sprawozdanie: Autor téj — jak ją sam zowie — powieści z życia ludu wiejskiego, Jan Skowronek (pseudonim), długoletniem pożyciem śród ludu wtajemniczył się w obyczaje, zwyczaje i sposób zatrudnienia włościan, poznał gruntownie ich charakter i skłonności, niemniéj nawyczki, nałogi i biédę. — Ta ostatnia to zapewnie była dla autora bodźcem do skreślenia obrazu włościanina wzorowego i puszczenia swéj książki w świat z cichem błogosławieństwem i szczerem życzeniem, aby zawitała pod strzechę wiejską i przykładem zacnym zachęciła włościan do ładu i wspólnéj pracy, z któréj płynie dobrobyt; a ten ostatni, jeżeli nie jedynym, to głównym warunkiem jest oświaty i postępu. — A wszakże filozoficzne i filantropiczne dążenia obecnego i ubiegłego stulecia opiekuńczemi rękoma radeby dźwignąć najniższe warstwy społeczeństwa i zmazać granice przedzielające różne stany ludzkości, aby przez uregulowanie socjalnych stosunków, nadać towarzystwu ludzkiemu pożądany przez cywilizację wyraz doskonałości.— Dużo pisano i projektowano o oświacie ludu; lecz gdy przyszło do rozpoczęcia dzieła, trud odstraszał najchętniejszych. Nie wiedziano *jak* zacząć dzisiaj.— Dziełko powyżéj cytowane właśnie poucza, *jak* postępować należy, aby sobie zjednać zaufanie włościan i daléj na *uprawnionych zasadach* utrzymywać stosunki z nimi, a zgodnie z wyobrażeniami wieku, wpływać na polepszenie ich bytu.— Właścicielom i posiadaczom wiejskich majątków większych, nie powinno być obojetnem pojawienie się téj broszury, za skazówkę do *legalnego* i otwartego postępowania z włościanami służącéj, a zwłaszcza też tym, którzy przejęci są obowiązkiem swego powołania i prawdziwą miłością ludu, a nie ograniczają się w pożyciu z wieśniakami na stawaniu z nimi w sądach gminnych, w celu zanoszenia skargi o szkody zrządzone przez inwentarz chłopski.

W powiastce téj autor przedstawił także postać księdza (Świętosławskiego), dla którego przymiotów wcale nie szukał w idealnym świecie lub w przesadzonych żądaniach własnéj wyobraźni, a jeno w poczciwości serca. Kapłan Świętosławski jest pobożny a pracowity, moralizujący ale dobrym przykładem, jest szafarzem dobrodziejstw kościoła, lecz nie kupczy świętościami.— Dziełko to może więc i zainteresować kapłanów wiejskich, stykających się z ludem nieustannie.

Oprócz wymienionych korzyści i oprócz nauki do obchodzenia się z robotnikiem dla oficjalistów prywatnych, broszurka, Frąckowiak, ma wartość czysto naukową dla etnografa, który w niéj znajdzie mnóstwo dat do swoich zbiorów, a uwagi włościan nad postępowem gospodarstwem nie jedną mu stronę ich charakteru wyświecą. — Dołączony rozkład zabudowań wiejskich, plany łąk, pól i pastwisk, praktyczne rady o nawozach, orce, słowem o uprawie roli i zasiewach, o korzystaniu z ogrodów i sadów etc. etc. nadają książce pożądaną całość.— Dla urozmaicenia czytania w rozprawkach ekonomiczno-gospodarskich, wplecioną znajdzie czytelnik powiastkę, zakończoną ustępem: dziewięć wesel naraz.— Rzecz cała opisana przystępnie, zrozumiale, i dzieje się w gubernji Lubelskiéj, w powiecie Krasnostawskim.— Kończąc notatkę, za stósowne zda mi się zwrócić uwagę światłych obywateli na nacisk, jaki autor dziełka kładzie na potrzebę zawiązywania spółki gospodarskiéj i założenia kass posagowych, wykazując zarazem korzyści płynące z takich stowarzyszeń.

i.

Wiadomości Techniczne.

— Pakunek do panewek trzonowych. Każdemu maszyniście wiadomo, jak wielką rolę grają przy pompach i maszynach parowych tak zwane panewki trzonowe (Stopf-

büchse, boîte á étoup, stuffingbox), w których chodzą sztangi tłokowe, szybrowe, pompowe etc., i jak ostróżnie należy się z niemi obchodzić, ażeby się sztangi nie zagrzały z powodu suchego pakunku, lub też ażeby nie przepuszczały z cylindrów pary lub wody. Panewki te należy od czasu do czasu smarować. Dla uniknienia tego smarowania, J. B. Miller w Filadelfji, w Ameryce północnéj, wynalazł przed paru laty odpowiedni pakunek, składający się z plecionego bawełnianego sznura, nasyconego tłuszczem i mineralnemi prochami. Sznur ten zaleca się wielką trwałością i smaruje korbsztangę daleko lepiéj, niż dotychczasowe środki. Pakunki takie wyrabiają w Frankfurcie nad Menem pp. Wirth i S-ka po nader nizkiéj cenie; wyrabiają je również fabryki francuzkie. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

— **(S.) „Bazar Stowarzyszenia Merkury“** otwarty został dnia 27 Października obok Resursy Kupieckiéj, w którym przyjmowane będą tak od członków stowarzyszenia, jako i od osób nienależących do niego rozmaite przedmioty na sprzedaż sposobem komisowym, za opłatą komisowego z góry lub z dołu, stósownie do przepisów na miejscu do przejrzenia będących. Opłata takowa jest bardzo małą, bo 1% od wartości przedmiotu naznaczonéj przez właściciela i 6% od kwoty wziętéj za ten przedmiot. Zakład tego rodzaju był niezmiernie pożądanym w Warszawie. Cieszymy się więc szczerze z utworzenia onego. Wiele osób częstokroć nieprzyjaznemi okolicznościami przymuszone, zbywają rozmaite przedmioty za bezcen; dzisiaj *bazar* przychodzi im z rzeczywistą pomocą, pośrednicząc między sprzedawcą a nabywającym, bez narażania pierwszego, na przykre, bolesne niekiedy osobiste występowanie wtedy, kiedyby właśnie pragnął uniknąć podobnych zachodów. Każdy przedmiot może być wystawiony przez sześć miesięcy na sprzedaż z wolnéj ręki, albo stósownie do żądania interesenta na licytację, która się perjodycznie odbywać będzie. W Bazarze znajduje się otwarta księga doniesień czyli annonsów, w któréj zapisują się rzeczy wystawione na sprzedaż lub które kto kupić potrzebuje, a którą każdy bezpłatnie przeglądać może.

Bazar jest otwarty codziennie od godziny 8-éj rano, do 1-éj z południa,—potem od 3-éj do 8-éj wieczorem, w niedziele zaś, tylko od 4-éj do 8-éj wieczorem.

Że publiczność nasza pojmuje należycie prawdziwy pożytek tego zakładu, okazuje się ztąd, że, od kilku dni jego istnienia przybywa coraz więcéj przedmiotów do sprzedaży, a sprzedaż odbywa się z zadowoleniem stron interesowanych, to jest: sprzedającego i kupca.

— **(S.) Zakład gimnastyki, zabaw i rękodzieł dla dzieci i młodzieży.** Zakład ten, przy ulicy Królewskiéj, w domu obok Tivoli istniejący, coraz większego i praktyczniejszego nabiera rozwoju. Obok pierwotnego swego zadania, którego głównym celem jest: uczęszczające do niego młodziutkie pokolenie po za domem rodzicielskim, a zawsze, pod najtroskliwszą macierzyńską pieczą, zajmować pożytecznie tak dla zdrowia jako i dla umysłu, otworzył z dniem 15 Września r. b. dla panienek do 14-go roku życia, kurs nauki kroju bielizny, szycia na maszynie, haftów białych, wraz z informacją o praniu, prasowaniu i konserwowaniu wszelkich przedmiotów lnianych i bawełnianych. Szczegółowy program tego kursu przekonywa nas, że tam nic nie zaniedbano, o niczem nie przepomniano, co tylko do ręcznéj roboty kobiecéj należy, co młodą panienkę, dobrą, zręczną i w każdym domu, w każdéj rodzinie pożądaną, samoistną pracownicą uczynić może. Myśl to bardzo szczęśliwa! Bo, nie dosyć, że kobieta, sama, własnemi rękami potrafi wiele niezbędnych w jéj zakresie niewieścim robót wykonywać; ale, jakże pożytecznem jest, jeżeli ona, tam, gdzie tego nie zachodzi konieczna potrzeba, ażeby osobiście podobne prace wykonywała, umieć będzie rostropnie i oczczędnie niemi pokierować, udzielić skuteczną radę tym ze sług swoich, które jéj zleceń mają być wykonawczyniami. Rzeczywiście, cieszymy się serdecznie z tego pomysłu czcigodnéj Przewodniczki Zakładu i życzymy całem sercem tak Jéj szlachetnym dążnościom, jako i spieszącym pod Jéj opiekuńcze skrzydła uczennicom, których pewnie dla korzystania z tak ważnego dobrodziejstwa nie zabraknie, najlepszego na téj drodze powodzenia.

Bo też bezstronnie przyznać należy: że zakład Gimnastyki, zabaw i rękodzieł, pełen młodego, jędrnego życia, odpowiada najzupełniéj swojemu przeznaczeniu. Dbały o wszystko, co celem swojego zadania uczynił, rozwija on stopniowo swoich młodziutkich pupillów i pupilki na drodze wszelkiego, możebnego dla nich postępu. Dowodem tego są także świeżo urządzone w nim przedstawienia sceniczne czyli teatr artystów—dzieci, dla widzów—dzieci, dawane w dni świąteczne. Przedstawienia te, nastręczając miłe umysłowe zajęcie młodym amatorom artystom, oswajają zarazem takichże samych młodych słuchaczów i widzów, z jedną z najwdzięczniejszych sztuk pięknych, sztuką dramatyczną, która w takich, jak w Zakładzie traktowana obecnie granicach, zdolną jest i pierwszych i drugich bardzo praktycznie do dalszego przysposabiać życia.

— **Wypadek.** W departamencie Loire w Francji, zdarzył się w Listopadzie z. r. następujący wypadek. Trzoda owiec i chłopczyk trzyletni pozostawieni zostali przez owczarza na chwilę pod opieką psa tuż w bliskości lasu. W tem wypadł wilk z krzaków i rzucił się na dziecko w zamiarze porwania go z sobą. Pies jedyny podówczas opiekun, przyjął na siebie rolę obrońcy i z zaciekłością rozpoczął walkę z napastnikiem. Na szczęście, po kilku minutach rozpaczliwéj obrony nadbiegł owczarz i zmusił chciwego wilka do ucieczki, w walce jednak pies spełniający czyn bohaterskiéj obrony, został mocno skaleczony w nogę, tak dalece, że musiano mu takową amputować. Silny organizm psa wytrzymał operację i dziś znów choć na trzech nogach, spełnia dawniejsze obowiązki i towarzyszy owczarzowi.

Korrespondencja od Redakcji.

— **Świątecznemu.** Dziękujemy za uznanie, więcéj jeszcze za radę: aby zmienić rysownika i drzeworytnika. Wprawdzie *Świątecznemu* raz przecie zebrało się na dowcip, ale jakiż paradny dowcip..... On, który w każdym Numerze podaje na czele jakieś czarne plamy, które sceny illustrowane przedstawiać mają—on chciałby nam dawać rady o poprawności rysunku... Widocznie *Świąteczny*, jest żabą z bajki, która swoję łapę nadstawia, gdy koniowi nogę kują.

„*Dzieci przestańcie, bo się źle bawicie.*“

— Panu **A. Lewand.** Dobre chęci Pańskie zostały już uprzedzone przez innego Sprawozdawcę o „teatrach ogródkowych.“

— Panu **Janowi R...** „Wiersz p. n. Śmierć Barbary Radziwiłłównéj,“ drukowany nie będzie.

— Panu **Aleks. Woje....** Wiersz *nieszczęśliwy szczęśliwego* szesnastoletniego kochanka troskliwego o *prawdziwe szczęście* tak młodych pupillów, w *Opiekunie Domowym*, drukowany nie będzie.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 24 Октября 1870 года. — **Redaktor,** Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.